

Tydzień temu Jacek Damięcki, 72-letni emerytowany profesor architektury, przepłynął w pław z Helu do Gdyni. Swój wyczyn zadedykował dzieciom chorym na rzadką i bardzo kosztowną w leczeniu mukopolisacharydozę.

Jowita Kiwnik: Przepłynął pan ponad 20 km w 16-stopniowej wodzie, przez 11 godzin zmagając się z falami. Musiało być ciężko?

Prof. Jacek Damięcki: Od samego początku nie zamierzałem szarżować, tylko płynąć własnym równomiernym tempem. I dopłynąć. Wyłączyłem się na wszystkie niedogodności, małe skurcze czy zimno.

Czy był chociaż jeden moment, kiedy pomyślał pan: "Dalej nie dam rady"?

Nie, nie miałem takiego kryzysu. Myślałem sobie, stare kobiety idą na pielgrzymkę i przemierzają 15 godzin dziennie, to ja tych 11 nie dam rady? To też było takie moje "wodne pielgrzymowanie".

Jakiś odcinek był szczególnie ciężki?

Mniej więcej w połowie trasy zaczęła się fala i cała trudność polegała na tym, żeby nabrać powietrza. Albo udawało mi się wziąć oddech, albo musiałem połykać wodę. Co godzina robił pan przerwę na odpoczynek i krótki posiłek. Ponoć odmawiał pan jedzenia na rzecz picia.

Na łodzi ratowniczej, która cały czas płynęła obok, miałem termosy z herbatą z cytryną i miodem, kakao, czekoladę i jedną pomarańczę, którą kupiłem jakieś dwa dni wcześniej w Helu. I właśnie na tę pomarańczę w pewnym momencie poczułem wielką ochotę. Poza tym wolałem pić herbatę. Smakuje wyśmienicie, gdy pije się ją, będąc uczepionym burty i zanurzonym w zimnym Bałtyku. Czemu nie chciałem kakao i czekolady? Może bałem się, że takie gęste obciążą mi żołądek.

Jak wyglądały przygotowania do tej, niebagatelnej w końcu, wyprawy?

Codziennie trenowałem. Od czerwca brałem tylko zimny prysznic. Pierwszy gorący wziąłem dopiero w Gdyni, jak dopłynąłem. Przed samym wypłynięciem całe ciało nasmarowałem lanoliną. Trasę przemierzałem w piance i gumowych rękawiczkach, żeby palce nie drętwiały z zimna. Kupiłem dwa czepki - zwykły gumowy i ocieplany. W tym ocieplanym płynąłem. I w niebieskich okularach pływackich, żeby oczy chronić przed słońcem.

Jak czuł się pan po dopłynięciu?

Po całym dniu w pozycji leżącej, kiedy poczułem dno, przyklęknąłem i chciałem z jednej nogi wstać. Nie dałem rady, ratownik mi pomógł. Ale wyszedłem już sam. Posadzili mnie na fotelu, przykryli ręcznikiem i dopiero wtedy, nie wiem, czy z emocji, czy z zimna, dostałem drgawek. 10 min spędziłem pod gorącym prysznicem, siedziałem na ziemi i zmywałem tę lanolinę. Potem gorąca zupa i szybko spać, żeby nie myśleć. Następnego dnia czułem się świetnie, jakbym nigdy nigdzie nie płynął.

Wiek nie jest przeszkodą?

Nie jest. Sam jestem po transfuzjach i operacjach, ale jak widać, po paru latach i treningu słabość znika. Można być coraz starszym i mieć coraz lepsze zdrowie. Czy wyczyn posłuży dzieciom?

Wczoraj poznałem chore na MPS maluchy i ich mamy. To straszne, że leki kosztują takie horrendalne sumy. Mam nadzieję, że udało mi się im pomóc.

Jowita Kiwnik - Gazeta Wyborcza Trójmiasto

Źródło: <http://miasta.gazeta.pl/trojmiasto>